№ 35 WARSZAWA, DNIA 31 SIERPNIA 1912 ROKU ROK II

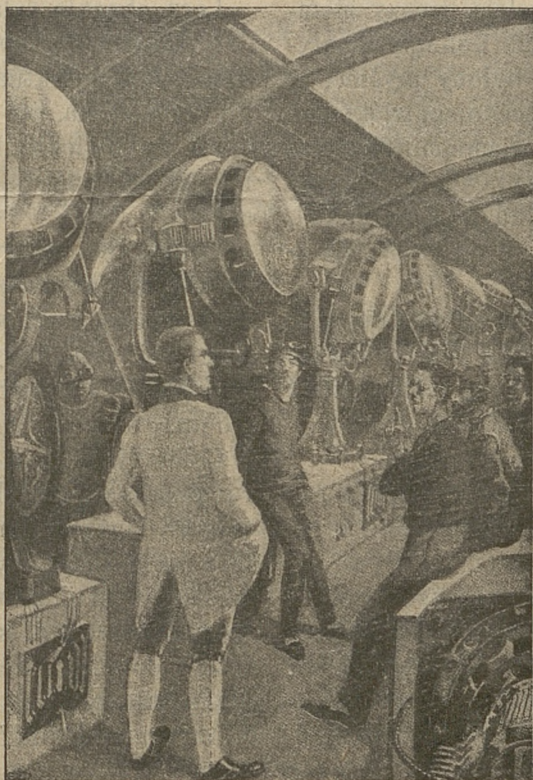
NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

Jeden dzień z życia amerykańskiego dziennikarza w r. 2889.

Ciąg dalszy.

Zresztą wojna jest wobec ostatnich wynalazków niemożebną. Czemże można się



Rys. do N-ru 34 str. 121.

obronić od pocisków, rozsiewających duszące gazy, rzucanych z góry, lub na odległości stu kilometrów, albo od iskier elektrycznych, długości pięciomilowej, które zmiatają odrazu całe armje? A pociski, naładowane mikrobami cholery, dżumy i

febry żółtej, które wyniszczyć mogą naród cały w przeciągu kilku godzin?

W tej chwili zbliżył się konsul angielski.

— Witam pana — rzekł Benett — czy mogę czem panu służyć?

— Byłoby to dla mnie wielką rzeczą, gdyby pański dziennik wszczął dyskusję w naszej sprawie narodowej...

— Jakiej-że to? — spytał dziennikarz.

— Złożenia protestu przeciw przyłączeniu Wielkiej Brytanji do Stanów Zjednoczonych!

— Tylko tyle! — zawołał Benett, wzruszając ramionami — ależ ta aneksja była dokonaną przed stu pięćdziesięciu laty! Czyż ziomkowie pańscy nie pogodzą się nigdy z tą zwykłą koleją rzeczy ziemskich, że ich kraj został kolonją amerykańską? Szaleństwem byłoby myśleć, iż zgodzę się na to wysoce niepatrjotyczne wystąpienie przeciwko własnemu rządowi!

— Panie Benett! Wprawdzie Munroê powiedział: „cała Ameryka dla Amerykan", jak panu wiadomo, ale i on mówi tylko o Ameryce, nie zaś o...

— Ależ Anglja jest naszą kolonją i to jedną z najpiękniejszych! Nie ma więc mowy o tem, abyśmy się jej mieli pozbyć kiedykolwiek dobrowolnie!

— Więc pan odmawiasz?

— Tak jest! A jeśli pan będziesz nastawał, powstanie z tego casus belli z rezultatem z góry wiadomym!

— A więc to koniec wszystkiego! — szepnął konsul przygnębiony. — Stany Zjednoczone, Kanada i Wielka Brytanja należą do Amerykanów, Australja i Nowa Zelandja rządzą się same... Cóż nam zostało z odwiecznej świetności Anglji? Prawie nic!

— Jakto nic? — odparł Benett — a Gibraltar?

* * *

W tej chwili wybiła dwunasta. Wielki dziennikarz, pożegnawszy ruchem ręki wszystkich, usiadł na ustawionym na szynach fotelu i po kilku minutach znalazł się w swej sali jadalnej, oddalonej o kilometr od biur redakcyjnych.

Stół był już nakryty. Francis Benett zasiadł samotny, lecz pod ręką ma całą serję guzików elektrycznych, a przed sobą zwierciadło fonotelefotu, w którem widzi salę stołową swego paryskiego pałacu.

Pomimo różnicy czasu, małżeństwo umówiło się, aby jadać o jednej porze, bo cóż może być przyjemniejszego nad znajdowanie się w obecności ukochanych, zwyciężając czas i przestrzeń, rozmawiać z niemi i widzieć się nawzajem!

Lecz obecnie sala paryska jest pustą.

— Edyta się spóźniła! — szepcze Benett. — Ach, punktualność kobieca! Wszystko się ulepsza, ale nie to!

Po wypowiedzeniu tej aż nadto słusznej uwagi, nacisnął jeden z guzików na stole.

Benett, jak wszyscy w naszych czasach ludzie, mogący sobie urządzić życie podług swojej woli, wyrzekłszy się kuchni domowej, jest stałym klijentem T o w a r z y s t w a d o s t a r c z a n i a p o k a r m ó w d o m i e s z k a ń.

Celem jego jest rozsyłanie przez sieć rur pneumatycznych tysiącznych rodzajów potraw. Sposób ten jest kosztowniejszym, lecz ma się stół wyśmienity i nie jest się zależnym od domowych tyranów — służących. Benett jadł samotny, więc bez apetytu i dopiero, kiedy kończył swoją kawę, postać pięknej żony jego pojawiła się w zwierciadle telefotu.

— Skądże wracasz, droga Edyto? — zapytał.

— Ach! — odparła — czy już skończyłeś śniadanie? Zdaje mi się, iż się nieco spóźniłam... Skąd wracam? Naturalnie, od modystki! Kapelusze tegoroczne są zachwycające! Nie są to kapelusze, ale wieże, ko-

puły... to są całe poematy... Trochę się tam zasiedziałam!...

— Tak, troszkę... skończyłem już śniadanie.

— Doprawdy? A więc wracaj, mój drogi, do swoich interesów, a ja muszę wpaść na chwilę do mego krawca po parę modeli...

Kochający mąż złożył pocałunek na zwierciadle telefotu i skierował się ku oknu, gdzie nań oczekiwał jego powóz powietrzny.

— Gdzie pan życzy sobie lecieć?—spytał mechanik.

— Zaraz... mam dziś dosyć czasu, trzeba zajrzeć do fabryki akumulatorów przy Njagarze.

Przepyszny statek, sunący z szybkością sześciuset kilometrów na godzinę, uniósł ich w przestworza. Pod niemi przesuwały się miasta tłumne, ożywione, o domach olbrzymich, koło których ruchome chodniki przenosiły przechodniów wzdłuż całych; ulic wioski i pola, całe osnute, jak pajęczyną, gęstą siecią drutów elektrycznych.

* * *

W pół godziny Benett był przy swej fabryce, która użytkuje siłę wodospadu na wytwarzanie energji elektrycznej, sprzedawanej następnie różnym zakładom przemysłowym. Ukończywszy jej przegląd, powrócił przez Filadelfję, Boston i Nowy-Jork do Centropolis, i o piątej popołudniu był już u siebie.

* * *

Wielka poczekalnia „Zwiastuna Wszechświatowego" jest szczelnie zapełniona. Wszyscy oczekują na powrót dyrektora z codziennej wycieczki, po której udziela posłuchania licznym interesantom.

Są tu wynalazcy, pragnący uzyskać kapitały, są pośrednicy i ajenci, proponujący znakomite (podług nich) interesy; trzeba więc między temi propozycjami zrobić wybór: korzystne przyjąć, wątpliwe sprawdzić, złe odrzucić...

Francis Benett szybko się załatwiał z tymi, którzy przychodzili z pomysłami bezużytecznemi lub niewykonalnemi. Jeden z nich, np. chciał wskrzesić malarstwo, sztukę oddawna zaniedbaną do tego stopnia, iż słynny niegdyś obraz Millet'a A n i o ł P a ń s k i, sprzedany został niedawno za 15 franków. Stało się to dzięki wynalazkowi błyskawiczno-kolorowej fotografji, wynalezionej przy końcu XX-go stulecia przez Japończyka Aruziswa-Riochi-Nichome-Sanjukamboz-Kio-Baski-Ku, którego nazwisko jest dziś tak powszechnie znanem. Drugi utrzymywał, iż odkrył bakcylusa biogenicznego, który wprowadzony do organizmu, wciąż go odradzał, czyniąc przez to nieśmiertelnym.

Trzeci znów, chemik, opowiadał cuda o nowo wynalezionym przez siebie pierwiastku, n i h i l i u m, którego gram kosztował tylko trzy miljony dolarów...

Był i jakiś doktór, proponujący kupno uniwersalnego środka przeciwko wszelkim chorobom. Wszystkich tych marzycieli prędko pożegnał król dziennikarzy. Kilku z nich jednak doznało lepszego przyjęcia— między nimi młody człowiek o czole wysokiem, znamionującem niepospolitą inteligencję

— Panie, — rzekł ten młodzieniec — niegdyś liczono pierwiastków chemicznych 75, dziś ta ilość sprowadzoną jest do trzech, ja zaś jestem w przededniu zredukowania tych trzech—do jednego.

— Czegóż zatem żądasz pan odemnie?

— Kapitału na ukończenie ostatecznych doświadczeń! Za kilka tygodni stanę u celu.

D. c. n.

GRZYBY.



Ciąg dalszy.

Wiosna i lato jednak nie są właściwą porą grzybobrania. Dopiero, gdy w jesieni częstsze deszcze zaczną grzybni dostarczać potrzebnej do owocowania wilgoci, widzimy je w większej ilości powstające szybko „jak grzyby po deszczu". Pieczarki, których nie brakło i w lecie, gdyż rosną od czerwca do października, wychodzą teraz obficie. Mają one trzon



Pieczarka.

krótki, na nim rodzaj kołnierza, a pod spodem kapelusza cieniutkie blaszki, zawierające zarodniki czyli nasiona. Blaszki pieczarki są zrazu białe, z wiekiem coraz ciemnieją; po nich też najłatwiej można je odróżnić od purchawki, która ich nie posiada. Oprócz nich ukazują się rydze, najpiękniejsze z lasów sosnowych. Jest to grzyb nadzwyczaj zdrowy, gdyż, smażony czy gotowany lub duszony, choćby nawpół surowy, jest łatwym do strawienia i nieszkodliwym; kapelusz ma nie-



Rydz.

co wklęsły, kleisty, z białawemi paskami dokoła, na tle brudno-ceglastem. Po prze-



Opieńka.

łamaniu rydza wydaje on czerwono-żółty sok.

Przy pniach drzew spotykamy nieraz całe kępy grzybków drobnych, popielato-

bronzowych, mających na cieniutkim trzonie stożkowate kapelusze, także nieco kleiste. Są to opieńki, grzybki bardzo smaczne, mające tylko tę przywarę, iż ciągną soki nie z gnijących cząstek, jak inne, lecz z korzeni rosnących drzew, na czem drzewo mocno cierpi i nieraz wskutek tego uszczuplenia soków zamiera.

Zabawnym grzybem jest sarna, szarobrunatna, mająca na kapeluszu odstające łuski skóry, co go czyni podobnym do futerka lub kolczastej skóry jakiego zwierzątka.



Sarna.

Jest jeszcze jeden smaczny grzybek: żółto-pomarańczowy, którego trzon rozszerza się stopniowo ku górze, tworząc kapelusz o powyginanych, nieco pod spód zawiniętych brzegach. Są to lisice, czyli kurki, albo tanecznice; są one zdrowe i bardzo czyste, ponieważ prawie nigdy nie zjadają ich robaki lub liszki. Może pochodzi to stąd iż smak tego grzybka jest na surowo nieco gorzki; lecz przez wygotowanie w wodzie grzyb pozbywa się go zupełnie i uduszony w maśle, smak ma delikatny.



Lisica.

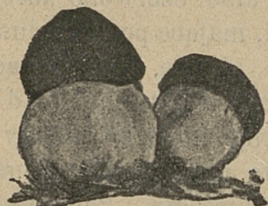
Wszystkie te wspomniane przez nas grzyby: pieczarka, rydz, sarna, opieńki, a także podobne kształtem do rydza, białe, różowe albo czerwone surojeszki lub surojadki, mające pod kapeluszem blaszki, a także piękne, lecz trujące muchomory należą do gatunku bedłek. Muchomór truje nietylko muchy lecz i ludzi — jest to grzyb piękny: na wysokim trzonie białym ma kapelusz ponsowy w białe, wypukłe centki — u brzegu jego widoczne strzępki kołnierzyka.



Muchomor.

Królem grzybów jest prawdziwy grzyb czyli borowik: trzon ma gruby u dołu, biało-bronzowawy, kapelusz kulisty ciemno-bronzowy. Pod spodem nie ma on blaszek, lecz mnóstwo małych otworków: są to końce rurek z zarodnikami, rosnących pod kapeluszem. Takież rurki posiadają: maślak z wyglądu zupełnie do borowika podobny, lecz nieco wyższy i smuklejszy, a po ugotowaniu kleisty i zbyt miękki—dalej koźlarz czyli podgrzybek z trzonem cienkim, chropowa-

tym, o kapeluszu czerwonawym lub brunatnym. Ma jednak borowik dwóch braci niebezpiecznych: są to borowik szatański, na świetnie ponsowym trzonie noszący zielonawo-brunatny z wierzchu, a pod spodem czerwony kapelusz; jest on prawie jadowitszym od muchomora i tem straszniejszy, żę słodkawym smakiem i przyjemnym zapachem nie odstrasza nikogo.


Borowik

Drugi z nich, borowik ponury, ma kapelusz oliwkowo-bronzowy, trzon gruby, twardy, okryty jakby czerwoną siateczką na tle żółtem. Oba te grzyby po przełamaniu wkrótce sinieją, co powino służyć za wskazówkę, że są szkodliwe. Wreszcie rzadka dosyć u nas trufla rosnąca całkowicie w ziemi, kończy szereg naszych grzybów jadalnych. Rośnie ona tylko w ziemi dobrej, w lasach liściastych, najczęściej dębowych. Do ich wynajdywania układają czyli tresują psy i świnie, które je łatwo wyszukują.


Trufla.

Wybierając się na grzyby, trzeba koniecznie wziąć ze sobą kogoś, kto się zna na nich dobrze, dla uniknięcia strasznych skutków spożycia grzybów trujących.

D. c. n.

Gustaw le Rouge.



NIEWIDZIALNI.



Ciąg dalszy.

Nie wiedziałem co mam począć i w jaki sposób noc przepędzić?

Galerja podmorska była zbyt zimną, podziemie zbyt wilgotne, skierowałem się więc do wieży szklanej, postanowiwszy przespać się w jednej z ciemnych nisz, o których wspominałem.

Pomimo ciemności, nie obawiałem się zabłądzić; trzeba było tylko iść ciągle w jednym kierunku.

Wkrótce się tam znalazłem; z głębi uśpionego morza płynął blask łagodny, tak, że gdy patrzyłem na uśpioną koralową wioskę, odcinała się ona dokładnie na tle bladej światłości, którą była otoczoną. Zarośla alg i łąki podwodne również nie były pogrążone w ciemnościach. Fosforyzujące żyjątka i rośliny wydawały to cudne, łagodne światło, które miało niebieskawe cienie, jak blask księżyca. Najzupełniejszy spokój tam panował: ryby spały w algach, skorupiaki we wgłębieniach skał... Jedynie tylko jakaś

massa ciemna, o płomiennych oczach przemknęła szybko przez uśpioną wioskę. Nie mogłem nawet rozpoznać do jakiego gatunku należała.

Byłem wtedy na schodach spiralnych, które wiodły na wierzchnią platformę wieży. Mogłem urządzić sobie spanie w której z nisz na dolnych piętrach, lecz jakaś chłopięca ciekawość gnała mię na sam wierzchołek: chciałem zobaczyć czy jest jeszcze ów sznur, po którym opuściłem się na niższe piętro. Wydostałem się na najwyższą kondygnację nisz, lecz nie mogłem odnaleźć tej, którą już znałem. Naszukawszy się jej napróżno, musiałem się umieścić w pierwszej lepszej, gdyż wszystkie były jednakowe i w każdej było szklane naczynie, napełnione krwią.

Przytuliłem się pod rodzajem balustrady, rozdzielającej dwie kolumny, a w kącie znalazłem stos miękkich włókien, które na razie wziąłem za bawełnę, lecz po bliższem przyjrzeniu się było to podobniejszem do amiantu lub do nici ciągnionych ze szkła.

Zrobiłem sobie z nich wezgłowie i ułożyłem się do snu; lecz nie mogłem zasnąć. Myśl przepełniona tylu wrażeniami, nie mogła się uspokoić: podziwiałem więc piękny widok Fobosa i Dejmosa, bratnich księżyców, osrebrzających kolorowe kolumny. Na czystem niebie błyszczały gwiazdy, a ja patrząc na nie, zapytywałem sam siebie: czy żyję, czy też może dusza moja tylko tu błądzi, podczas gdy ciało pozostaje pogrążone w śnie lunatycznym, w krypcie jednej ze świątyń indyjskich.

Lecz spojrzawszy nieco dalej, ujrzałem między innemi gwiazdami Ziemię, jako małe i nikłe światełko. Tam się znajdowało wszystko co ukochałem na świecie...

Tu głos Roberta umilkł pod wpływem wzruszenia. Opanowawszy się, mówił głosem lekko drżącym:

— Gdy tak byłem zatopiony w rozmyślaniach usłyszałem nad sobą lekki łopot skrzydeł i zanim zdołałem pomyśleć o obronie, uczułem się pochwyconym przez ręce śliskie i miękkie jak węże, takie same jak w gęstwinie roślinnej i nie mogłem uczynić najmniejszego poruszenia.

Krew ścięła mi się ze zgrozy w żyłach; byłem pewnym, że nadeszła moja ostatnia chwila. Lecz mój przeciwnik, którego kształtów nie mogłem dojrzeć w ciemności, pochwyciwszy mię do góry, zadowolił się wyrzuceniem mię na spiralne schody, gdzie długo leżałem na wpół martwy. Serce mi biło gwałtownie.

Wtedy usłyszałem znów ruch skrzydeł i chlupotanie czegoś płynnego: widocznie wróg mój gasił pragnienie w naczyniu z krwią. Następnie słychać było jak się układał do spoczynku na posłaniu, z którego mię niedawno usunął.

Powoli przyszedłem do siebie, powstałem i zeszedłem jak mogłem najprędzej o dwa piętra niżej. Zadyszany i przerażony, nie śmiałem już wchodzić do żadnej niszy, obawiając się powtórnego spotkania z ich mieszkańcami.

Ułożyłem się w galerji i próbowałem usnąć; dokazałem tego nakoniec, lecz sen mój był niespokojny i przerywany przez przerażające widzenia. Budziłem się kilkanaście razy, oblany zimnym potem, pewny iż słyszę wśród szmeru fal morskich, łopot skrzydeł lub chichot szyderczy, znany mi już dawniej, na który, niestety, zamało wprzód zwracałem uwagi...

Nareszcie dzień zaświtał. Gdy się tylko rozwidniło, wstąpiłem na wyższe piętro, z rozpaczliwą odwagą spotkania się raz wreszcie, twarzą w twarz, z tajemniczym nieprzyjacielem. Obszedłem wielką liczbę nisz, wszystkie były puste, lecz włókna amiantu, służące za pościel w każdej niszy, miały wszystkie odciśnięte wgłębienie od ciał, które na nich spoczywały, a szklane misy były prawie wszędzie puste. Nie mogłem tego pojąć i wcale mi było niewygo-

dnie w roli księcia z bajki, uwięzionego w jakimś zaczarowanym zamku, gdzie jest obsługiwanym, nie widząc żywej duszy.

Ten dzień spędziłem prawie całkowicie w galerji podmorskiej, podziwiając łagodny wdzięk wodnych krajobrazów.

Nie śmiałem już wracać do szklanej wieży: dreszcz mię przechodził na wspomnienie tych długich, śliskich palców, które jak węże miękkie a sprężyste oplotły mię silnie w niszy i pogardliwie wyrzuciły na korytarz...

Tak spędziłem cały tydzień w ciągłej obawie, lecz bez jednostajności.

Postanowiłem zwiedzić cały pałac podziemny i na każdym kroku robiłem zdumiewające odkrycia. W tych niezliczonych składach, musiał jakiś naród przez wieki całe chyba gromadzić te bogactwa. Podziwiałem tam arsenały, gdzie bronie różne były wyrobione z kruszców mi nieznanych; przypominam sobie siekiery o poczwórnych ostrzach, które miały kolor i połysk szmaragdu, jak gdyby były ukute z zielonego złota.

Spotykałem też miedź, żelazo i złoto, lecz w małej ilości; natomiast metal najrzadszy między ziemskiemi, irydium, znajdowałem obficie, zachwycając się jego tęczowemi odblaskami.

Były tam porobione z niego wielkie kule, najeżone wewnątrz ostremi kolcami, a otwierające się w połowie; obie te pólkule, których przeznaczenia nie mogłem się domyśleć, były złączone zawiasami.

Były tam nożyce ząbkowane różnych rozmiarów, niezmiernej wielkości, sieci z drucików jakiegoś lazurowego metalu, u każdego oczka których był mały zakrzywiony haczyk, jak u wędki.

Czy te wszystkie narzędzia służyły do pracy, czy wojny, czy tortur? Nie mogłem tego odgadnąć i nieraz godziny całe przechodziły mi na rozmyślaniu nad zawiłem zagadnieniem, jakiemi były istoty, które te narzędzia wytworzyły, miały się niemi posługiwać i zapełniły tem wszystkiem tę olbrzymią kryptę, obszarem równającą się sporemu miastu?

Dotykałem się teraz do wszystkiego ostrożnie, gdyż miałem wypadek następujący: znalazłem spory krążek srebrny, z wykrojonemi w nim kilku otworami o średnicy 8 do 10 ctm. i nierozważnie wsunąłem w jeden z nich rękę. Natychmiast wewnętrzna sprężyna wepchnęła w ten otwór stalowe ostrze, które o mało nie przecięło mi ręki. Ta przygoda uczyniła mię przezornym.

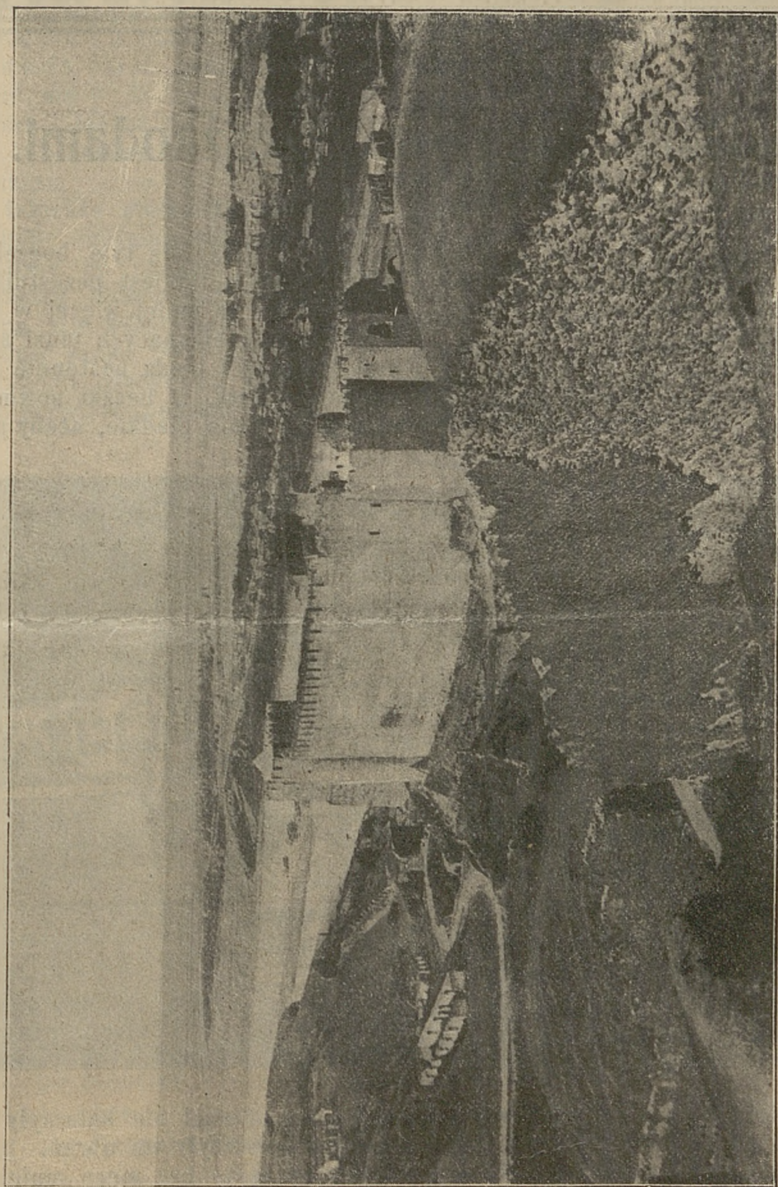
Wziąłem z tego składu, dla własnej obrony, złotą siekierę, którą zawiesiłem u pasa i rodzaj długiej lancy z irydium ze srebrnem okuciem, ciężkiej i dobrze wyostrzonej.

Lecz potrzebowałbym conajmniej, dnia całego na opisanie tych wszystkich magazynów, składów żywności, narzędzi i najrozmaitszych przedmiotów, zapełniających te katakomby podmorskie!... Z wielu szczegółów wyprowadziłem wniosek, iż to wszystko było oddawna zaniedbane i opuszczone. Może to cały jakiś naród został wytraconym przez rzeczywistych mieszkańców wież szklanych, a moich niewidzialnych i nieznanych dozorców?

Jedna rzecz szczególniej mię ucieszyła: oto znalazłem jedną z sal, zapełnioną skrzynkami z drzewa czerwonawego jak cedr, w których się znajdowały, poukładane porządnie, najrozmaitsze materje. Były one tkane z włókien nieznanego mi pochodzenia, lecz niektóre z nich miały giętkość jedwabiu, a inne miękkość bawełnianych wyrobów.

Kiedy je rozkładałem, pewna ich ilość rozsypywała się w proch, jak tkaniny znajdowane w Herkulanum, Pompei lub grobach starożytnych.

(D. c. n.) (Tłom. z fran. *K. W.*).



ZAMEK W CHOCIMIU OD STRONY MIASTA.

Wyścigi piesze z przeszkodami.



Ażeby urozmaicić piesze wyścigi, możemy dodawać do nich rozmaite przeszkody, utrudniające bieg i dające sposobność do wyrobienia i rozwinięcia zręczności.

Nr. 1. Uczestnicy biegu powinni mieć wszyscy wiązane krawaty jednego rozmiaru i zanim wyruszą, powinni porozumieć się z dziewczynkami, stojącemi na mecie, wybierając je sobie do pary.

Na dany znak chłopcy puszczają się w bieg: każdy, dobiegłszy do swojej towarzyszki, zatrzymuje się, a ona powinna rozwiązać krawat jego i zawiązać jaknajprędzej, poczem chłopiec pędzi z powrotem do miejsca zkąd wyruszył.

Kto dobiegnie pierwszy, z dobrze zawiązanym krawatem, bierze nagrodę.



Nr. 2. Bierze się tyle beczek pozbawionych obu den, ilu jest uczestników wyścigu i układa się je mniej więcej w połowie mety. Każdy z biegnących musi się przesunąć przez beczkę i biedz następnie dalej.

Rzecz prosta, iż beczki powinny być wewnątrz zupełnie gładkie, ażeby gwoździe lub wystające drzazgi nie kaleczyły ścigających się i nie niszczyły im ubrań.

Beczek może być nieco mniej, gdyż rzadko bardzo się zdarza, aby wszyscy biegli równo i jednocześnie znaleźli się przy beczkach.

Nr. 3. Na połowie przestrzeni wyznaczonej do przebiegnięcia, przytwierdza się luźno, za pomocą kołków i sznurów, dużą płachtę płócienną lub sukienną, za wszystkie

cztery rogi. Biegnący muszą przesunąć się pod tą płachtą po trawie lub piasku, poczem ruszają w dalszą drogę.

Nr. 4. W połowie drogi ustawia się tyle stołków, krzeseł, lub ławek—ile jest ścigających się. Na każdym z tych sprzętów kładzie się pomarańczę i nożyk. Każdy z uczestników powinien obrać pomarańczę porządnie i puścić się w dalszą drogę, zabierając pomarańczę. Można do tego użyć jabłek, ogórków lub kartofli—muszą one być obrane bez zarzutu.

Nr. 5. Na takichże stołkach kładzie się różne zwierzchnie ubrania: paltoty, marynarki, lub obuwie do zmiany: naturalnie, wszystkie te rzeczy muszą być jednakowe, aby wszyscy na ich wdziewanie na siebie tracili równą ilość czasu. Wyznaczone ubranie trzeba na siebie włożyć na miejscu — kto kończy tę czynność podczas biegu, będzie wyłączonym. Ubranie jednak stosownie do umowy, można przywdziewać biegnąc — wyłączając obuwie.

Nr. 6. Każdy z uczestników wyścigu dostaje łyżkę z leżącem na niej jajkiem. Trzeba dobiedz do mety tak ostrożnie, aby jajko z łyżki nie spadło. Dla większego utrudnienia daje się im w każdą rękę po łyżce, co wymaga zwiększonej uwagi i ostrożności.

Nr. 7. Zabawnym jest wyścig wstecz: ubiegający się o nagrodę biegną cofając się, możliwie prędko. Tor powinien być gładki i równy; jeśli kto upadnie, co się zdarza bardzo często, powinien stanąć na tem miejscu, gdzie w chwili upadnięcia znajdowały się jego stopy i prowadzić dalej wyścig. Dla wprawniejszych mogą być małe przeszkody, np. wązkie rowki lub sznury przeciągnięte nisko nad ziemią, które powinni przeskakiwać.

BOLESŁAW PRUS

SIEROCA DOLA.

Ciąg dalszy.

— Chciałem prosić, żeby mi dała jaką robotę—odpowiedział Jaś po chwili wahania.

— A skądeś ty się tu wziął? — bodaj Antek, podejrzliwie patrząc na dość przyzwoite ubranie sieroty.

— Z miasta.

Odpowiedź ta uspokoiła nieco ulicznika, pytał bowiem dalej:

— Co tobie po robocie?

— Jeść mi się chce.

— Fiu! fiu! —gwizdnął łobuz, a potem dodał:—Mógłbyś przecie sprzedać ten rajtrok, tobyśmy oba mieli jedzenia na jaki tydzień.

— Ja tam wolę robić—szepnął Jaś.

Antek włożył swój nóż do kieszeni i zamyślił się.

— A możebyś ty do mnie poszedł w służbę?—rzekł nagle Antek, patrząc ostro na Jasia.

Zadarł przytem głowę do góry, ponieważ był od niego niższy.

— A coś ty za jeden?... — spytał zdziwiony Jaś, uśmiechając się, choć miał ochotę do płaczu.

Pytanie to ubodło widać ulicznika; podrapawszy się bowiem w okolicach kołnierza, odparł z godnością:

— Wiesz ty, sałato, że przez moje ręce przeszło już z dziesięciu takich, jak ty, durniów? Co ty sobie myślisz?... Tylko się do mnie zgódź, a dam ci jedzenie i takie spanie, że się będziesz pocił w trzaskające mrozy!

— Ha! spróbuję...—rzekł Jaś po krótkim namyśle.

— No, to daj rękę na zgodę! — zawołał ulicznik i, uderzywszy go w dłoń z całej siły, dodał:—Chodź za mną, a dopiero poznasz, com ja za jeden.

Wyszedłszy stamtąd i wyminąwszy kilka niezabudowanych uliczek, dotarli do lepianki, otoczonej zrujnowanym parkanem. Tu Antek kazał zatrzymać się Jasiowi, a sam wszedł na podwórko.

Na podwórku stał wózek, leżała spora kupa piasku, a obok niej, jak żołnierz na warcie, spacerował barczysty mężczyzna, z rudemi włosami, w półkożuszku, z wyrazem filozoficznego spokoju na twarzy, nie odznaczającej się zresztą inteligencją.

Antek skradał się jak wilk, mając widocznie powody unikania tęgo zbudowanego mężczyzny. Niebardzo też zagłębiając się w podwórze, stanął przy furtce i krzyknął:

— Panie Marcinie!... Bondziur!...

Drab zwolna odwrócił się, uważnie popatrzał na ulicznika i przesunąwszy czapkę od tyłu głowy ku przodowi, odparł:

— Na jeden bok!...

— A oddał panu ten Walek, złodziej, woreczki?—pytał Antek.

— Tyś sam złodziej, boś mu worki sprzedał za kieliszek wódki, choć były nie twoje.

Odpowiedź ta uspokoiła nieco ulicznika, który począł ostrożnie zbliżać się ku środkowi podwórza, mówiąc:

— Łże, jak pies!.. żeby mię Matka Boska skarała... Sam mi wyrwał worki i jeszcze mię tak strzelił pod oko, że musiałem chodzić do doktora... Żeby mię tak choroba tłukła!

Słabo rozwinięty pan Marcin nie wiedział, czy wierzyć, czy nie wierzyć tej dziwnej historji. Antek tymczasem zbliżył się do kupy piasku i, uderzając ją nogą, rzekł z westchnieniem:

— Żebym ja tak miał worki... Eh! w migbym panu sprzedał tę kupkę.

— Daj co w zastaw, to ci worków pożyczę.

— Uu! także się pana Marcina żarty czepiają!—mówił Antek, drepcząc w miejscu i wsuwając ręce w rękawy. — Ja nie mam koszuli, a panu się zastawu żądzi!

— A gdzieżeś ją podział?—spytał ciekawie Marcin.

— Zgubiłem na Krakowskiem. Jakiem, mówię panu, zdjął paltok, tak ci psia kość spadła na ziemię, żem jej nie mógł napowrót odrychtować. Niech ją choroba tłucze!

Pan Marcin, podrapawszy się w głowę, rzekł:

— Phy!... i workibym ci dał i piasku zakredytował, gdybym wiedział, że mi nie ukradniesz...

— A mój honor to pies?... — krzyknął obrażony Antek.—Cóż to, czy ja nie miałem interesów z ludźmi porządnymi? O! i jeszcze z jakimi!

— No! no!...—mruknął Marcin i poszedł ku lepiance.

— A i powróz niech pan wytaszczy, bo przecie w pysku nie będę nosił...

— To ty, gnacie, nawet powroza nie masz? — dziwił się Marcin, kręcąc głową.

— Skądże mam mieć?... — odparł ladaco. — Przecie jeszcze nie było licytacji w lombardzie.

W kilka minut potem, pan Marcin, naładowawszy dwa worki piasku, przywiązał je do pleców Antka, którego pożegnał temi słowy:

— A zaprzepaść mi co, albo kupuj od innych łobuzów piasek, nie ode mnie, to ci tak podziękuję, że ci zęby za uszami wyrosną!...

— Iiii! - wrzasnął łotr na odchodne, dając jednocześnie hasło Jasiowi.

Gdy tym sposobem wezwany sierota przybiegł, Antek przełożył na niego swoje worki, mówiąc:

— A co, może nie będzie interesu?... Sam djabeł nie odejmie ci tego, co przy mnie zarobisz!

— Cóż ja mam z tem robić? — spytał zdziwiony Jaś, oglądając się niespokojnie na swoje obciążone plecy.

— Jakto co?... Będziesz za mną piasek nosił, a ja będę krzyczał i jeszcze — będę się frasował o ciebie.

Wkrótce na podwórzach domów, w okolicy Nowego Światu i Alei Jerozolimskiej, słyszano przeraźliwe wołanie Antka:

— Ho — pia!... pia — łego!... wiślanego!

I niepewny głos Jasia:

— Piasku białego!...

. . . .

W godzinę po odejściu Antka, na Marcinowe podwórze wbiegł jakiś człowiek zziajany, rozgorączkowany i stłumionym ze wzruszenia głosem począł wypytywać piaskarza:

— A nie widzieliście, człowieku, takiego chłopca w czarnym paltocie i w czapce z daszkiem?

— Nie widziałem! — odparł Marcin, robiąc na niego wielkie oczy.

— Ładny taki chłopiec, powiadam wam, cichy... Oj, jakże mi dech zapiera... Jaś mu na imię...

— Ani mi się śniło o takim!—mruknął niechętnie Marcin.

— Jak to może być?... — ciągnął dalej błagalnym głosem przybysz. —Ludzie przecież spotkali go... Tułał się w tych stronach... Alboż ja wiem, może i w Wisłę wpadł!

— Co miał wpaść? Przecież teraz Wisła stoi.

— To prawda! — mówił przybysz. — Pozwólcie mi tu spocząć trochę. Jak to może być, żebyście go nie widzieli?... przecie to taki znaczny chłopiec... Powiedział majster, że go okradł, a onby mu nawet krajki nie wziął... O jakżem się zmęczył!... Jakby tu przyszedł, to spytajcie: czy on Jaś? I powiedzcie, że to Jędrek ukradł, i że ja go szukam po całej Warszawie.

— Musi mieć kiepsko we łbie!—pomyślał Marcin, który sam przecie nie odznaczał się geniuszem.

— Powiedzcie mu to, a Bóg wam wynagrodzi...

Z temi słowy zerwał się znowu i pobiegł, jak pies, szukający zgubionego pana. Opuściwszy podwórze, zatrzymał się jeszcze i przez parkan zawołał:

— A nie zapomnijcie, com wam mówił... Jaś mu na imię!. .

. . . .

Nakrzyczawszy się aż do chrypki i nasprzedawawszy piasku co niemiara, Antek i Jaś, jego oficjalista, kupili sobie nad wieczorem flaszkę piwa, pełne kieszenie bułek, pół funta lakierosa i weszli w ustronną uliczkę, celem zjedzenia kolacji. Słuszność nakazuje wyznać, że Antek, choć mały, wziął sobie znacznie większą cząsteczkę, oddając Jasiowi resztki. Na deser zaś, począł sierotę obełgiwać:

— Wiesz ty łobuz,—mówił—że Marcin, jak się dowie o tem, żeśmy od innych piasek brali, to nam będzie chciał lanie zrobić?... Ale się nie bój, ja w tem jestem!... Ho! ho! mówię ci, że jakbym ja się wziął do niego, toby się jeszcze nie obejrzał, a jużby na ziemi leżał! Ho! ho! ja, mówię ci, tom w bitwie taki zawzięty, jak Żyd w tańcu, a taką, mówię ci, mam moc, żebym zmógł sołdata z karabinem i z pałaszem.

— To czemu ty sam piasku nie nosisz? — spytał Jaś.

— Eh!... bo ja tylko w bitwie taki. A wreszcie, mówię ci; że ja byle jakiej roboty nie lubię się podejmować. Kiedym pisma nosił, to nieraz gadali: „Gdybyś ty, Antek, nie był taki złodziej, toby z ciebie było co dobrego!” — alem puścił pisma w trąbę!... To czas zabiera. No, chodźmy na spacer.

I poczęli włóczyć się po mieście. Nagle Antek stanął przed kantorem wekslarza i wskazując garstkę złota za oknem, rzekł:

— Wiesz ty, łobuz, że to wszystko moje?

— At! — odparł Jaś z uśmiechem.— Roi ci się coś po głowie i tyle.

— Ma się wiedzieć, że moje, bo jak zechcę, to ci nie dam patrzeć.

I powiedziawszy to, Antek odepchnął swego oficjalistę od okna. W Jasiu zawrzała krew, tak więc ścisnął za kark swego pana, że ten aż się w kłębek zwinął, a uwolniwszy się z trudnością, gniewnie zawołał:

— Uhu!... to z ciebie taki zuch?... Spróbuj się ty tak ze mną jeszcze raz, a dam znać o tobie do cyrkułu, psiawiaro!

Jaś, usłyszawszy to, struchlał. Czuł on, że bezsilny ten chłopiec pobił go dyplomacją, a że wobec niego niczem jeszcze byli: pan Piotr, pan Karol, a nawet majster Durski!

Około dziesiątej wieczorem, dwaj chłopcy poszli znowu ku nadwiślańskiej dzielnicy. Tam przeleźli jakąś dziurę w parkanie i o kilka kroków od niej ujrzeli wielką beczkę po cukrze, która leżała poziomo.

— A co?... to ci spanie!...—szepnął Antek, włażąc pierwszy do tego osobliwego buduaru.

— Bój się Boga! — odezwał się drżący Jaś:—a jak nas tu kto złapie?

— To i cóż?... nic nie ukradłem, nikogo nie zabiłem... Cóż mi kto zrobi?—odparł Antek.

Z ciężkiem sercem Jaś wgramolił się za nim i utonął w starej, napół przegniłej słomie, pośród której znajdowało się wiele innych rzeczy, stanowiących to, co zwykli ludzie nazywają śmieciami.

Wkrótce zmęczenie pokonało wstręt, i Jaś zasnął w barłogu tak spokojnie, jak niegdyś w rozsuwanem łóżeczku, kołysany szmerem matczynej modlitwy.

Na drugi dzień, jeszcze szaro było na dworze, gdy obaj chłopcy wymknęli się przez ten sam otwór w parkanie, który służył im za wejście. Idąc pustemi ulicami, Jaś mówił pacierz, a pod wodociągiem umył się; Antkowi wystarczyła czystość—duszy. Potem, tak samo jak wczoraj, Jaś nosił piasek, a przedsiębiorca Antek kupował towar, lub brał go na kredyt ze składów, omijając jednak lepiankę barczystego Marcina.

— Nie chcę się wadzić z Marcinem! — objaśniał Antek.

Po posiłku wieczornym, złożonym z chleba, wędzonki i dwu butelek piwa szlacheckiego po pięć groszy, dwaj mali tułacze zetknęli się z innym chłopcem, Walkiem, który zawołał:

— Chy!... Antek... żebyś wiedział, jak się na ciebie Marcin wygraża!... Mówi, żeś wczoraj wymanił od niego powróz i woreczki, że bierzesz piasek od innych, i że ci tak mordy nakuje, aż wyplujesz parę!...

D. c. n.

Z dzienniczka młodej panienki.

(SZARADA)

Ach, jaka piękna ***wszystka*** rozkwitła pod mojem oknem? Jeżeli mamusia pozwoli mi pójść ***czwarty pierwszy*** do ***trzeciej trzeciej***, poproszę, by mi moja ***czwarta wspak*** i ***czwarta wprost*** przypięła ją do sukni. Czy jednak mamusia pozwoli? Nie trzeba wątpić. ***Drudzy trzeci*** nigdy nie wiemy, co nas spotka! Wujaszek, zamiast mnie poprzeć, wyśmiewa się ze mnie i nie może zrozumieć, że dla nas dziewcząt pierwszy ***pierwszy***, to znacznie większa przyjemność, niż dla niego ***drugi wspak*** atutowy.

M.

Drobiazgi.

Napoleon I w teatrze. Napoleon chciał rządzić wszystkiem, nawet teatrami. Zdarzyło się, iż na pierwszem przedstawieniu wygwizdano nudną sztukę niejakiego Lemercier, protegowanego cesarza. To oburzyło Napoleona: kazał wznowić sztukę, zabraniając gwizdania i przybył sam na przedstawienie, a dwa regimenty wojska stały przed teatrem. Odegrano dwa akty i zaczynano, wśród grobowego milczenia, trzeci, na poprzedniem przedstawieniu właśnie wygwizdany.

Napoleon siedząc w loży, rzekł do jenerałów którzy mu towarzyszyli:

– Widzicie że nikt się nie ośmiela odezwać!— i patrzył dalej na scenę.

Po niejakim czasie spojrzał na salę — i zdumiał się! Każdy z widzów, od sufitu aż do parteru, miał oczy zamknięte a na głowie białą szlafmycę. Był to widok tak komiczny i tak uosabiający nudę sztuki, iż Napoleon parsknął śmiechem i więcej tego utworu nie grano.

Myśliwska anegdota. Dwóch myśliwych, spotkawszy się u znajomych, zaczęli wzajemnie wychwalać zalety i zmyślność swoich psów.

— Mój Trezor — mówił jeden z nich — posiada nadzwyczajną inteligencję: załatwia mi sprawunki, odnosi listy na pocztę i opowiem panu, co się wczoraj stało:

Niósł w zębach trzy listy na pocztę, a ja szedłem za nim. Naraz upuszcza jeden z nich na ziemię i nie chce go wziąć z powrotem, tylko patrzy na mnie i kręci ogonem!

— Musi w tem coś być! — mówię sobie i podnoszę ów list. Cóż pan powiesz na to? List był bez marki!

— Wierzę panu — odparł drugi — ale mój Karo jest mądrzejszy! I on mi nosi listy na pocztę i raz kiedy mu je oddawałem, jednego z nich nie chciał wcale wziąć. Nie zgadłbyś pan, dlaczego? Oto była omyłka w adresie; napisałem: ulica Piotrkowska, w Warszawie — zamiast w Łodzi!

„O własnych siłach“.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez „Bawole Serce“.

—o—

Z następujących sylab ułożyć 15 wyrazów, które czytane z góry na dół utworzą imię i nazwisko jednego z bohaterów powieści „Zwycięzcy bieguna”.

Sylaby: sy, ni, bi, cki, tan, wa, ro, an, smir, no, wa, łuk, ga, i, ton, gra, ma, in, wil, kon, rja, ni, zi, al, ni, ka, łe, se, nit, du, ze, fred, na, szyng, fja, ke, glja, ru, et, si, la.

Znaczenie wyrazów:

1. Kraj w małej Azji.
2. Jezioro w Afryce.
3. Imię męskie.
4. Stolica Assyrji.
5. Plemię indyjskie.
6. Miasto w Małej Azji.
7. Broń starożytna.
8. Państwo w Europie.
9. Stolica Stanów Zjednoczonych.
10. Mała rzeczka sławna przejściem Cezara.
11. Ludoznawstwo.
12. Gramatyk polski.
13. Nazwa narodu.
14. Miasto w Hiszpanji.
15. Najwyższy punkt na niebie.

SZARADA

ułożył Biały Orlik.

Pierwsze i drugie, w polskiej krainie
To starożytny gród
Drugie i pierwsze, ogrodnikowi
Zadaje wielki trud.

Arytmograf

ułożony przez Tadeusza S. z ul. Hożej.

—o—

Cyfry zastąpić literami w ten sposób, żeby otrzymać 17 wyrazów, których środkowe litery, czytane z góry na dół utworzą imię i nazwisko poety polskiego.

1. **1**
2. 3 **5** 8
3. 3 5 22 15 **4** 12 17 13 17
4. 10 17 **9** 17 4
5. 6 **18** 4
6. 15 **20** 15
7. 15 **6** 17
8. 20 **2** 12
9. 11 5 3 **5** 7 15 4
10. 8 9 15 11 **4** 2 6 20 15
11. 6 **20** 2
12. 17 3 **2** 4 17
13. 6 **5** 9
14. 9 15 **8** 15 9
15. 11 16 3 **2** 14 17 4
16. 20 16 **21** 18 20
17. 22 16 9 **19** 18 4 2

Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska.
2. Zwierzę drapieżne.
3. Napój ochładzający.
4. Zwierzę domowe.
5. Człowiek należący do rodziny.
6. Organ wzroku.
7. Owad.
8. Inaczej pałka.
9. Przyrząd do porozumiewania się z drugą osobą.
10. Skating-ring po polsku
11. Przyrząd do jazdy na północy.
12. Imię żeńskie.
13. Wyrób z mleka.
14. Przyrząd do jazdy po mieście.
15. Kwiat.
16. Mały koń.
17. Plemię czarne.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej 1-ej i 2-ej z N ru 29-go nadesłała Jadzia B.

Rozwiązanie łamigłowki sylabowej 1-ej i 2-ej z N-ru 30 go nadesłali: Złośnica, Płomyk z Bierwieńciszek.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej 1-ej i 2-ej, oraz szarady z N-ru 31-go nadesłali: Zdzisław W., Biały Orlik, Jan Schaff.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej i kreskowej z N-ru 32-go nadesłali: Telesfor z ul. Wilczej, Jan Schaff, Złośnica, Dziusia Dąbrowska z Subocza.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej i książkowej z N-ru 32-go nadesłali: Płomyk z Bierwieńciszek, Telesfor z ul. Wilczej, Biały Orlik.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej i kreskowej z N-ru 33-go nadesłali: Płomyk z Bierwieńciszek, Biały Orlik. Telesfor z ul. Wilczej. Rycerz posępnego oblicza, Emma Gutglassówna, Zosia Nowicka, Kasiunia W. z Sitańca, Wacek W. z Sitańca.

Rozwiązanie łamigłówki geograficznej, sylabowej i zadania arytmetycznego z N-ru 34-go nadesłała Złośnica.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 31.

1.	Balon	Bohdan Dyakowski.
2.	Oktawjusz	
3.	Huron	
4.	Darjusz	
5.	Amsterdam	
6	Nogi	
7.	Daniel	
8.	York	
9.	Ara	
10.	Karakas	
11.	Odessa	
12.	Waszyngton	
13.	Syberja	
14.	Kondor	
15.	Inwalid	

Rozwiązanie łamigłówki z Nr. 31.

R	e	k	o	r	**D**	Roland Bayard.
K	**O**	n	a	**R**	y	
K	o	**L**	**A**	n	o	
D	r	**Y**	**A**	d	a	
B	**A**	r	a	**N**	y	
B	a	g	d	a	**D**	

Warunki prenumeraty.

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 2 kop. 50	rb. 3 kop. 50
Półrocznie	„ 1 „ 25	1 „ 80
Kwartalnie	„ — „ 65	— „ 90
Rocznie z dodatkami w oprawie	rb. 4 kop. 30	5 „ 30

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.
W Galicji kwartalnie kor. 2.40.

TREŚĆ NUMERU:

Jeden dzień z życia amerykańskiego dziennikarza w r. 2889 (ciąg dalszy) z rysunkiem 129
Grzyby (z rysunkami) 132
Niewidzialni. tłom. z franc. K. W. (ciąg dalszy). 134
Zamek w Chocimiu (rysunek) 137
Wyścigi piesze z przeszkodami (z rysunkiem) 138
Bolesław Prus. Sieroca dola, ciąg dalszy 139
Z dzienniczka młodej panienki (szarada) 142
Drobiazgi 143
„O własnych siłach". Wiersz. Łamigłówki. 143

Redaktor i wydawca: Marja Bujno-Arctowa

Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3